

Co to znaczy?

Zaproszony przez Redakcję „Głosu” do wypowiedzenia się na temat „młodych-nowoczesnych”, odczułem coś w rodzaju zakłopotania. Przede wszystkim zawsze przeraża mnie ogólnikowość i ta szczególna nutka histerycznej nerwowości, które cechują większość dyskusji o młodzi. Dlatego wolę jak dyskutantom sami zainteresowani, a nie nie zawsze kompetentni starsi mento-ry. Poza tym mam pewną awersję do słowa: nowoczesny. Może dlatego, że w odniesieniu do literatury i innych dziedzin sztuki jest ono puste i praktycznie biorąc niczego nie oznacza. Może być książką dobra, lub zła, odkrywcza lub banalna, ale nowoczesna? To przeważnie szyld dla preten-sjonalnej pseudo-głębi. W najlepszym razie wpływ aktualnie obowiązującej mody. Myślę, że podobnie jest nie tylko ze zjawiskami kulturalnymi, ale i z ludźmi, także i z tymi młodymi. Osobista kultura, zdolność samodzielnego myślenia, szerokie horyzonty myślowe, ambicja. Czy cechy te są nowoczesne, czy starożytnie? Nie wiem. Ale chyba mogę zaryzykować stwierdzenie, że wymykają się one z tej kategorii klasyfikowania. Natomiast bu-ty — bitlesówki, czy baczki a la książę Józef należą aktualnie do atrybutów nowocześnieści, mimo, że i nasi dziadowie nosili się podobnie. To samo dotyczy całego szeregu innych rekwizytów mody i obyczajów.

Po tym wstępie — do rzeczy.

W ostatnich dwóch latach odbyłem wiele spotkań z młodzieżą. Na wsi i w mieście, w dużych zakładach przemysłowych, technikach, klubach, ogólniakiach. Kontakt mój z tymi młodymi ludźmi był szczególnie i na pewno nieco zawężony. Punktem wyjścia była prawie zawsze literatura, która niekiedy stawała się odskocznią do wzajemnych zwierzeń. Z racji uprawianej przeze mnie tematyki starałem się mówić z młodzieżą przede wszystkim o pewnych wydarzeniach związanych z II wojną światową. Próbowane wskazywać na ogromne luki w znajomości najnowszej historii naszego kraju. Przy czym — w miarę możliwości — starałem się operować konkretnymi, a zwłaszcza ogólnymi, którymi obficie nafaszerowane są mózgi młodych. Takie problemy jak bohaterstwo, odwaga, patriotyzm, kochają się u wielu z czymś w rodzaju szczególnego westernu. Tak przecież, a nie inaczej odbierane są popularne, wojenne serie telewizyjne. Oczywiście, nie ma w tym żadnego nieszczęścia. Jeśli trudno do wyobraźni przemówić inaczej — niechaj przełamywanie Wału Pomorskiego czy bitwa o Kołobrzeg kojarzy się z westernem. W pewnym momencie trzeba chyba jednak żądną

przygody i sensacji wyobraźnię zapłodnić faktami, które na pewno nie ustępują swoją dynamiką przygodom kowbojów w awanturnych saloonach. Tylko skąd mają się młodzi o faktach tych dowiedzieć? Program nauczania historii jest tak obszerny, że na poszczególne bitwy nie starczyło już w podręcznikach miejsca. W ten sposób młody Polak anno 1968 słyszał zapewne o jakimś Pomorskim Wale, o bitwie kołobrzskiej, czy forsowaniu Nysy, ale fakty te giną w natłoku mglistych ogólników. Opo-wiadał mi kustosz kołobrzskiego Muzeum Wojska, które mieści się przy ulicy Emilii Gierczak, że spora część listów adresowanych jest na ulicę Emilii Plater. Bóiem bohaterka bitwy o Kołobrzeg, w marcu 45, dwudziestoletnia podporucznik, nie potrafiła wdrzeć się do wyobraźni współczesnej młodzieży, a „cud-dziwica” stanowi w niej trwały obraz wyssany — jak to się pięknie mówi — z piersi matki. Nie potrafiłmy więc — pomimo starań — ożywić po-ległych bohaterów. Ich nazwiska nie, lub prawie nie mówią. Przeciętny osiemnastolatek zapytany jakiego zna bohatera minionej wojny potrafi rzucić co najwyżej jedno, dwa nazwiska, i to też przeważnie generałów. W ten sposób przełamywanie potężnych bunkrów z żelaza i betonu, przy dwudziestostopniowym mrozie, bez wsparcia lotnictwa i artylerii, to kar-ta historyczna mniej znana niż skok księcia Pełi w nurty Elstery. Czyżby więc tam, na Wale Pomorskim i w tysiącach miejsc, gdzie heroicznie walczyli Polacy nie było bohaterów dostatecznie „fotogenicznych”? Odpowiedź jest jasna. Może więc i do historii, podobnie jak i do literatury potrzebny jest dystans? No tak, ale kto tę historię będzie pisał jeśli wymrą świadkowie wydarzeń?

Zdaje sobie sprawę, że to co napisałem wyżej wymaga rozwinięcia. Ze to zaledwie kilka luźnych myśli, które tylko częściowo zahaczają o temat dyskusji zainicjowanej przez redakcję „Głosu”. Ale młodzież współczesna wydaje mi się tak chłonna i interesująca, że często żałuję, że ta najważniejsza dziedzina doświadczeń ich ojców i starszych braci — minio-na wojna, wymyka się z pola ich uwagi. I od razu, żeby nie było nieporozumień: najmniej właśnie młodzież winię o ten stan rzeczy. A poza tym jestem przekonany, że gdyby stało się jakieś dziejowe nieszczęście i oni, ci „młodzi-nowocześni” musieliby za-mienić elektryczną gitarę na karabin, zrobiliby to tak samo jak i my przed laty dwudziestu z hakiem. I to pomimo „konsumpcyjnego stosunku do świata” i wielu innych grzechów.

GŁOS
tygodnia
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO
Nr 323 7. I 1968 Rok VIII

Portrety bez twarzy

Członek poznańskiego Okręgu ZPAF, Marian Kucharski, otrzymał niedawno zaszczytną Pierwszą Nagrodę, ufundowaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na II Ogólnopolskiej Wystawie Portretu Artystycznego w Gdańsku. Było to już drugie w zeszłym roku wyróżnienie o zasięgu krajowym, bowiem w czerwcu prace jego zyskały



II nagrodę i Srebrny Medal na Ogólnopolskiej Wystawie „Człowiek - 67” w Legnicy.

Oto jedno z nagrodzonych w Gdańsku zdjęć M. Kucharskiego z antywojennego cyklu „Portrety bez twarzy”, wykonane nowo opracowaną przez niego techniką bi-refleksyjną.

młodzi
nowocześni

JAK POWSTAJE KSZTAŁT MIASTA

Z pracowni urbanistów

Jak powstaje wizja nowoczesnego miasta. Kto ją tworzy i w jakich warunkach? Co twórcy muszą brać pod uwagę aby w pełni zaspokoić wymogi obecnych i przyszłych mieszkańców? Jak wreszcie powinno ono wyglądać pod względem architektonicznym? Czy urbanisci znaleźli rozwiązania możliwie najidealniejsze w warunkach naszego województwa? Na te i inne pytania próbowali odpowiedzieć: ekonomista — demograf mgr Bronisław Maj z Pracowni Planów Regionalnych, inż. arch. Janusz Gospodarek, mgr inż. Zygmunt Kuczyński i mgr Franciszek Zieliński z Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej.

Z. Kuczyński: Wizji współczesnego miasta nie może stworzyć jedna osoba. Potrzebny tu zespół wysoko kwalifikowanych specjalistów z różnych dziedzin. Zanim wyłoni się określony kształt przestrzenny miasta, muszą być przeprowadzone wielokierunkowe studia: fizjograficzne, socjologiczne, ekonomiczne, historyczne i inne. Urbanista przystępuje do pracy w oparciu o dokładną znajomość założeń gospodarczych, związanych z danym regionem, a więc w oparciu o wytyczne planu regionalnego.

B. Maj: Opracowaniem przestrzennym planów gospodarczych zajmuje się Pracownia Planów Regionalnych. Jak wiadomo, głównym czynnikiem miastotwórczym jest przemysł. Od perspektywy jego rozwoju, źródeł surowcowych, zależą: wielkość, liczba mieszkańców, inwestycje miejskie, komunalne i inne. W naszej pracowni tworzy się koncepcję rozwoju perspektywicznego regionu. Obecnie przygotowuje się ogólny plan regionalny województwa, który określać ma kierunki rozwoju działań gospodarki, podstawy do planowania miejsco-

wego, rozmieszczenie przemysłu i ludności. W pierwszej połowie 1968 roku zakończone zostaną prace nad ogólną koncepcją takiego planu regionalnego województwa w oparciu o założenia przestrzennego zagospodarowania kraju.

Dziennikarz: Jak daleko sięga myśl planistów w przyszłość?

B. Maj: Obowiązuje nas dwudziestoletnie wyprzedzenie, plan regionalny województwa zamyka się więc datą 1985 roku, ale uwzględnia też i odleglesze perspektywy, nawet do roku dwutysięcznego.

Dziennikarz: O ile wiem, pewne rejonu intensywnie uprzemysławiane mają szczegółowe plany rozwoju. Prezentowano ostatnio taki, dotyczący Konina, podczas wyjazdowej sesji Komisji Sejmowej w Poznaniu...

Z. Kuczyński: Jest to konieczne ze względu na powiązania tych okręgów z innymi regionami, niekiedy niekiedy pokrywających się z granicami naszego województwa. Szczegółowy plan regionalny okręgu przemysłowego Konin-Lęczycy-Inowrocław dotyczy aż trzech województw, a z poznańskiego obejmują-

je 4 powiaty: słupecki, kolski, koniński i turecki.

F. Zieliński: Warto dodać, że województwo jest podzielone na tzw. zespoły podregionalne, uwzględniające lokalizację w większych miastach (przeważnie wydzielonych) instytucji o charakterze wykraczającym poza dane miasto czy powiat, jak np. usługi specjalistyczne, rejonizacja służby zdrowia, przybytków kulturalnych (teatry, muzea itp.), szkolnictwa zawodowego, centrali handlowych. Funkcję „stolic” podregionalnych spełniają Kalisz dla południowej Wielkopolski, Pila dla północnej, Leszno dla zachodniej, Konin dla wschodniej części województwa.

Dziennikarz: W jakim stopniu urbanisci korzystają z opracowań regionalistów?

J. Gospodarek: Istnieje ścisłe współdziałanie między Pracownią Planów Regionalnych a Wojewódzką Pracownią Urbanistyczną, która ma na swoim koncie poważny dorobek. Od 1955—1965 roku opracowaliśmy ogólne plany perspektywiczne zagospodarowania prze-

Dokończenie na str. 2

Przepraszam, czy można...

Ileż to razy każdy z nas słyszał „nie garb się!” Nie warto by tego przypominać gdybyśmy uświadomili sobie, że często sami stwarzamy idealne warunki do garbienia się naszych dzieci. Uderzmy się w pierś i skierujmy ten wykrzyknik do innego adresata. Może skutki będą lepsze?

Przed kilku dniami ukazała się na łamach niektórych pism informacja, że w warszawskich szkołach podstawowych i średnich wprowadzone zostają ćwiczenia fizyczne w czasie lekcji. Komunikat jest lakoniczny i nie bardzo wyjaśnia czy 3-5 minutowe ćwiczenia odbywać się będą podczas każdej lekcji, czy też jednorazowo. Kurator Warszawskiego Okręgu Szkolnego pozostawił szkołom miejsce na przygotowanie organizacyjne i od 1 lutego wprowadzony będzie powszechny obowiązek ćwiczeń.

Czytałem tę informację z zazdrością. Tym bardziej, że nie ma w niej mowy o żadnym eksperymencie ani próbie. Zarządza się i basta, gdyż rzeczy już wypróbowanych przez innych nie ma sensu eksperymentować. Jedynym pocieszeniem może być dla mnie przeświadczenie, że warszawski kurator szkolny długo nie będzie osamotniony w trosce o zdrowie dzieci. Znajdzie niebawem naśladowców. Oby pierwszych w Poznaniu.

W czasie swych zagranicznych podróży interesowałem się wychowaniem fizycznym w szkołach i muszę powiedzieć, że pod względem liczby godzin w programie, poświęconych wychowaniu fizycznemu, kraje ościenne nie różnią się od nas. Mają takie same kłopoty z „upychaniem” zajęć jak nasze kierownictwo oświaty. Zrozumienie potrzeby ruchu dla prawidłowego rozwoju fizycznego i psychicznego dziecka jest tam jednak o wiele dalej posunięte.

W Czechosłowacji np. od lat uczniowie nie wracają po trzeciej przerwie do klasy. Czwartą lekcję zaczyna się bowiem od tzw. „fizminutki”. Dzieci ze wszystkich klas ustawione na boisku szkolnym ćwiczą w takt melodii i na komendę płynącą z głośnika. Odpowiednie zestawy

ćwiczeń przygotowywane są na lekcjach wf. Około 6 minut trwają ćwiczenia i tylko wyjątkowo złe warunki atmosferyczne mogą przeszkodzić w prowadzeniu tych zajęć przez cały rok na świeżym powietrzu. W jednej z praskich szkół, ze względu na brak boiska dzieci ćwiczyły na placu przed budynkiem.

W niektórych szkołach czechosłowackich i NRD-owskich troska o korygowanie postawy dzieci, skazanych na kilkunastominutowe siedzenie w ławkach, jest jeszcze bardziej rozwinięta i przybiera formy, o których możemy na razie marzyć. Marzyć dlatego, że nie jesteśmy na tej samej drodze. Jeżeli ktoś uważa, że przesadziłem, niech spróbuje przekonać mnie, że jest inaczej. Niedawno musiałem złożyć podpis w dzienniczku mego 10-letniego syna, pod

Bogdan Dohnke

Nie garbmy ich!

uwaga, że syn biegał na przerwie po korytarzu. Jak się później dowiedziałem, na przerwach wolno spacerować tylko w kapciach. Przyjąłem więc do wiadomości przekroczenie syna i zmartwiłem się strasznie. Dokąd idziesz szkoło?

Od lat wszyscy wszystkim przysnąć ramię, że stały przyrost lśniącego posadzek klepkowych czy gumolito-owych podłóg jest zamachem na naturę dziecka. W obrobie polysku na klepce, pełne temperatury dzieci spędzają po kilka lekcji z rzędu, zamknięte w czterech ścianach, a na przerwie spacerują parami po korytarzach, jak zakonnice w klasztorze. W domu, następnych kilka godzin trwa odrabianie lekcji, a kiedy się ściemni telewi-

zja zaczyna program dla dzieci i młodzieży. A więc znowu siedzenie, potem leżenie i tak w kółko. Najsmutniejszy w tym wszystkim jest fakt, że zdajemy sobie sprawę z obojętnego stosunku szkoły do fizycznej postawy dzieci, mamy do tego zastrzeżenia a niewielu próbuje to zmienić. Widocznie pamięć zawodzi.

Kiedy chodziłem do szkoły, wypędzano uczniów podczas przerwy z klasy, z korytarza, z hallu, zima i latem. Robiono to wtedy, gdy pokutowało jeszcze pojęcie, że szkoła jest tylko od wbijania wiadomości do głowy; obojętnie jakim sposobem, nawet przez siedzenie. Dzisiaj buduje się boiska przy szkołach, sale gimnastyczne, zakłada gabinety lekarskie, a więc można by mniemać, że wzrasta ranga wychowania fizycznego i higieny. Pozory jednak mylą. Wiele szkół na przerwie jest zamykanych a funkcję dyżurnego z opaską, egzekwującego kiedyś bezwzględne opuszczenie klasy i innych pomieszczeń szkolnych zamieniono na portiera, pilnującego u wejścia, by żadne dziecko nie wyszło z budynku podczas przerwy.

Mając taki obraz wyniesiony z oglądzin niektórych szkół, zostałem mile rozczarowany decyzją warszawskiego kuratora. Nawet ta namiastka ruchu (gdyż ćwiczenia odbywać się będą prawdopodobnie w salach wykładowych) jest jednak krokiem naprzód. Podpisuję się pod nią większym podpisem niż w dzienniczku syna. Wierzę, że nasze władze oświatowe zrozumieją, iż puchar i proporczyk w gabinecie kierownika, zdobyty na spartakiadzie między-szkolnej przez 7 piłkarzy ręcznych, jest wart funta kłaków, jeżeli 1000 uczniów spędzą przerwę na spacerach po korytarzu szkolnym. Cieszyć się będę razem z dziećmi z każdej nowoczesnej szkoły, jeżeli za słowem nowoczesność kryć się będzie nie tylko wygląd architektoniczny. Kierownictwu oświaty może nie zależeć na tym, aby wychowywać rekordzistów świata, ale musi zależeć na tym, aby dzieci były zdrowe i proste, aby przerwy podczas kilkunastominutowej pracy umysłowej były na miarę fizjologicznych potrzeb dzieci, a nie dostojnego grona.

Przepraszam, czy można... o to prosić?

Marlena bez reflektorów...

Trzy rzeczy towarzyszą Marlenie Dietrich we wszystkich jej podróżach: ogromna czarna lalka z którą występowała w filmie „Błękitny anioł”, zdjęcie „papy” Hemingwaya i para baletek otrzymana w darze od zespołu baletowego moskiewskiego Teatru Wielkiego.

— Nie szukam sławy gwiazdy filmowej — oświadczyła — po prostu dlatego, że nią nie jestem. Od „Wyroku w Norymberdze” nie grałam w żadnym filmie, a sam „Wyrok” — był wyjątkiem.

Częstym tematem jej rozmów jest wojna wietnamska — o jej zaangażowaniu po stronie walczącego narodu wietnamskiego świadczy także śpiewana przez nią pieśń Pete Seagara „Gdzie są wszystkie kwiaty”. Z podróży do Australii przywozi antywojenną pieśń „Biała trawa”. Jest to historia okaleczonego żołnierza, który wróciwszy po wojnie staje się miastem w gruzach. A w refrenie piosenki żołnierz powtarza: „Powiedziano mi, żeśmy wygrali, hurra!”

Co artystka myśli o Ameryce?

— Przybyłam tu w roku 1930 i otrzymałam obywatelstwo w roku 1934. W owych czasach było cudownie. Nikt się nie bał i można było mówić wszystko. Wciąż czuję się obywatelką amerykańską — nie zmienia się obywatelstwa jak koszule. Ale Ameryka nie jest tym czym była. Panuje teraz uczucie strachu, którego nie było, gdy przyjechałam. Ten strach czyni nas słabymi.

Ze wzruszeniem wspomina swych wielkich — i, niestety, nie żyjących dziś — przyjaciół, wśród których byli Hemingway i Cocteau, Gerard Philipe i Edith Piaf.

Nie ma nikogo — mówi artystka z melancholią — do kogo można by w razie potrzeby zadzwonić o czwartej rano. (PAP)

KSIAŻKA

Eugeniusz Morski urodził się i spędził pierwsze lata młodości w Leningradzie; wrócił po I wojnie do kraju; do polskiej wsi wszedł wraz z poznańską grupą „Prom”, ale tamte dziecięce i młodzieńcze związki pozostały; Morski tłumaczył sporo poetów rosyjskich i (czego dowodem ostatni zbiór wierszy Morskiego „Kregi pajęczyn”) napisał także wcale obśmerną wioskę wierszy w języku rosyjskim.

Eugeniusz Morski w „Kregach pajęczyn” prezentuje więc teraz łącznie swoje nowe wiersze polskie, rosyjskie oraz przekłady z rosyjskiego. W wierszach polskich poeta rozwija te przesłanki poetyzowania, którym dawał wyraz już w poprzednich zbiorach (np. w zbiorze „Gubię człowieka” 1966), a składają się na wyrażenie w opisowo-refleksyjnej formie przekonania o ładzie pierwotnej przyrody, za czym idzie zafascynowanie pogańskimi formami kultury, nieufność wobec teologii katolickiej i zafascynowanie (spokrewniające wiersze Morskiego z ideami futurystów) techniką, językiem science-fiction, sukcesami człowieka świątelnego.

Tkwi w tym zapewne niejaka sprzeczność, ale Morski usprawiedliwia swoje w tej mierze przekonania koniecznością takiego planowania życia biologicznego na ziemi, aby zapewnić rozsądną równowagę pomiędzy życiem przyrody a rozwojem współczesnej cywilizacji technicznej; Morskiemu chodzi o to, aby rozwój jednej dziedziny nie odbywał się kosztem drugiej... Jest więc zwolennikiem planowania równowagi, proporcji; widzi bowiem zalety zarówno w przeszłości, jak i w teraźniejszości.

Przekonania te odnosi on nie tylko do sfery życia człowieka i natury, ale i do wytworów sztuki; stąd wiersze Morskiego pobrzmiewają pasją polemiczną wobec różnych snobizmów i mód artystycznych; sztukę chciałby bowiem Morski oprzeć na szerokiej podstawie wiedzy o świecie i życiu; w tradycji poetyckiej odwołuje się jednak najchętniej do romantyków i neoromantyków,

ze szczególnym uwzględnieniem poetów rosyjskich okresu I wojny i rewolucji: Jesienina, (wczesnego) Majakowskiego, Błoka, Chlebnikowa... Pod ich to bodaj przede wszystkim sugestią Eugeniusz Morski chętnie czyni przedmiotem swego poetyzowania (wyrażającego się często w ujęciach balladowych) życie wielkowiejskie, pejzaż jesienny, sens ludzkiej egzystencji, przechodząc nieraz w wierszu od toku lirycznego, to znów fabularyzowanego, do drwiny i ujęć satyrycznych.

Słowem, Eugeniusz Morski jest wiernej sferze swoich młodzieńczych zafascynowań poetyckich; pozostaje ciągle pod urokiem epoki, która ukształtowała gust jego generacji. Staje się to zresztą u niego częścią programu estetycznego; w wierszu „Kregi” przyznaje wprost: ... Jakże trudna jest na tym świecie wielka sztuka zapominania.

Feliks Fornalczyk

„Los i powołanie proste“

I stwierdzenie to można przyjąć jako wskazówkę ułatwiającą zrozumienie motywów, które skłoniły poetę do zaświadczenia po latach swoich związków z krajem najwcześniejszego okresu życia, wyrażanych już nie tylko przez przekłady wierszy poetów rosyjskich, lecz wprost, we własnych wierszach pisanych w tym języku. Wierszy tych zebrało się tyle, że w zbiorze „Kregi pajęczyn” tworzą one oddzielną część, zatytułowaną „Piereplioski”. Przeczytałem te wiersze i pragnę zauważyć, iż wydają się one wyrażać znacznie wcześniejszy od dzisiejszego stan świadomości poetyckiej autora; przeważają w nich elementy poetyckiego opisu (coś w rodzaju lirycznego reportażu)

oaz intymne wyznania adresowane do ukochanej kobiety; objawia się tu więc znacznie więcej niż w nowych wierszach polskich Morskiego elementów impresjonistycznych, nawet egzotycznych, które wskazują w głównej mierze, iż owe rosyjskie wiersze autora „Kregów pajęczyn” powstawały na przestrzeni dłuższego okresu czasu.

Ale nie oznacza to, że i w tych utworach brak refleksji ogólniejszych, które mają na uwadze poznanie „kodu ziemi” (określenie z wiersza „Tajnopis”), co odpowiada zamysłom poety nad losem natury i egzystencją człowieka, tak charakterystycznym dla całej dotychczasowej twórczości poetyckiej Eugeniusza Morskiego.

Zbiór „Kregi pajęczyn” ukazuje po nadto działalność przekładową Morskiego, przebiegającą w dwu kierunkach, to znaczy z polskiego na rosyjski i z rosyjskiego na polski, czego dowodzą zamieszczone w zbiorze Morskiego przekłady na rosyjski dwóch sonetów Mickiewicza „Step” i „Ałusza” oraz kolejny wyraz żywiołowych od dawna sympatii poety dla twórczości Puszkina, Lermontowa, a — ze współczesnych — Wozniesińskiego. Eugeniusz Morski objawia zwłaszcza szczególne zainteresowanie dla formy poematu i utworów balladowych (potwierdzają to jego przekłady „Pieśni o wieszczym Olegu” Puszkina czy „Hadzi Abreka” Lermontowa), które w spolszczeniach Morskiego brzmią naturalnym rytmem i rymem.

Na dowód tego zdania przytoczę tu jednak nie Puszkina czy Lermontowa, lecz końcową zwrotkę „Ballady 41 roku” Wozniesińskiego, wystawiającą dobre świadectwo zarówno do wiersza i gustowi tłumacza, jak i jego umiejętnościom translatorskim:

... Nie robię żadnej tajemnicy,
mój los i powołanie proste,
pragnę muzyką być najczystsza,
cieplem i chlebem dla ludzkości.

Eugeniusz Morski: „Kregi pajęczyn”. Wiersze polskie, rosyjskie, oraz przekłady z rosyjskiego. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1967, str. 107,3 nłb.

JAK POWSTAJE KSZTAŁT MIASTA

Dokończenie ze str. 1

strzennego 98 miast i 3 osiedli. Poza tym powiatowe zespoły urbanistyczne zajmują się szczegółowym rozpracowaniem tych planów. W wyniku opracowań planistycznych powstała bogata dokumentacja, obejmująca pełną inwentaryzację zasobów miast, stanu uzbrojenia ulic, urządzeń komunalnych itd. Te opracowania studialne przydają się w wielokierunkowej działalności innych jednostek gospodarczych, które wykorzystują je szczególnie przy realizacji zamierzeń inwestycyjnych. Ta dokumentacja wreszcie jest niezmierznie przydatna przy podejmowaniu prac nad okresową aktualizacją planów ogólnych miast, wynikającą ze zmiany założeń gospodarczych. Aktualizowanie planów jest niekiedy konieczne, gdyż powstawały one w okresie, kiedy nie była jeszcze sprezyjonowana koncepcja sieci osadniczej. W świetle nowych generalnych założeń jednak dotychczasowe koncepcje urbanistyczne nie ulegną zasadniczym zmianom.

Dziennikarz: Czy w tych opracowaniach wszystkie miasta wielkopolskie mają jednakowe szanse rozwoju?

F. Zieliński: Niestety, nie. Przeprowadziliśmy dotychczas analizy możliwości rozwojowych 41 miast w Wielkopolsce. Spośród nich ma te szanse. Okazuje się, że koncentracja wysiłków inwestycyjnych najbardziej opłaca się w miastach średniej wielkości. W naszym województwie warunkowi temu odpowiadają np. Kalisz, Ostrow, Konin, Gniezno, Piła, Leszno. Rozważa się możliwości intensywniejszego rozwoju miast położonych na ważniejszych szlakach komunikacyjnych.

Z. Kuczyński: Analizy te wykazały bowiem, że miasta w swoim rozwoju napotykały na pewne bariery. Przekroczenie progu opłacalności przy rozbudowie może kosztować więcej niż budowa całkiem nowego miasta o podobnej liczbie mieszkańców. Taką naturalną barierą może być np. rzeka, dzieląca miasto, ewentualnie konieczność całkowitej przebudowy urządzeń komunalnych. Nasze zadanie polega m. in. na wykrywaniu takich barier, na występowaniu z konkretną ofertą pod adresem planowania gospodarczego.

Dziennikarz: Panowie mówili o tym, jak powstaje plan miasta. Czytelników naszych interesowałoby, jak urbanisci sobie to miasto wyobrażają, by jak najlepiej spełniało funkcje usługowe wobec mieszkańców?

Z. Kuczyński: Nielatwo na to odpowiedzieć. Wydaje się, że miasto nowoczesne powinno być podzielone na określone zespoły funkcjonalne: dzielnice mieszkaniowe, dzielnice przemysłowo-skaladowe oraz centralny zespół usług ogólnomiejskich, którego rolę dawniej spełniał rynek. Największą oszczędność terenów, skrócenie dojazdów do pracy, potanie kosztów uzbrojenia ulic i ogrzewania osiąga się przy budownictwie wysokim, minimum 5-kondygnacyjnym, z centralną ciepłownią. Przy rozbudowie starych miast korzystne są samodzielne dzielnice wokół istniejących już układów. Na tej zasadzie realizowana jest rozbudowa wielkopolskich miast — Konina, Turka, Gniezna, Kalisza.

J. Gospodarek: Dotychczasowa działalność Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej spotkała się z dużym uznaniem Ministerstwa Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Bezspornym osiągnięciem środowiska poznańskiego jest wiele opracowań modelowych planów szczegółowych rozwoju miast, ośrodków śródmiejskich, miasteczek, dzielnic przemysłowych itp. Poważny sukces Pracowni to zdobycie przez 7-osobowy zespół pod kierunkiem architekta Kuczyńskiego głównej nagrody w konkursie Towarzystwa Urbanistów Polskich na modelowe opracowanie planu perspektywicznego powiatowego miasta (na przykładzie Pińczowa). Koncepcje w tym opracowaniu zawarte można z powodzeniem wykorzystywać w warunkach wielkopolskich miast.

Wypowiedzi notował:

MARIA POLCYNOWA

Kazimierz Nowowiejski

„Diavolo” — relaks z myszką

Autor opery „Fra Diavolo” — D. F. E. Auber należał do znakomitości swoich czasów. Po śmierci maestro Cherubiniego prowadził paryskie konserwatorium. Napoleon III mianował kompozytora tytularnym dyrektorem Kapeli Cesarskiej. W roku 1829 zostaje Auber członkiem Akademii Francuskiej. W ciągu długiego życia napisał blisko pół setki oper, dziś już nie grywanych. Szeroką sławę uzyskała „Niema z Portici”, z której kilka wątków zaczerpnął W. Wolski, koncipując Moniuszce libretto do „Halki”. Auber zabłysnął jednak głównie na polu opery buffo czyli komicznej, kontynuując tradycje Mozarta i Rossiniego.

Poznańska Opera postanowiła na Nowy Rok uraczyć swych bywalców gruntownie zapomnianym „Diavolo”.

Jak my dzisiaj patrzymy na ten utwór, powstały dokładnie przed 138 laty? Na pewno inaczej niż nasi pra-pradziadkowie, dla których teatr Aubera był podniecającym kryminałem, rodzajem dreszczowca. Jest to rozbójnik udający hrabiego i strojący zuchwałe koperczaki do żony angielskiego lorda, napadłodziejski na gospodę, planowane mordstwo na osobie pocziwego oficera dragonów... Cóż za sensacyjna tematyka jak na dawne czasy! Dzisiejszy widz, zepsuty telewizyjnymi awanturami ze „Świątym”, przyjmując libretto Scribe’a, jako grube naiwności.

Tedy reżyser spektaklu S. Żerdzicki chyba słusznie uczynił zbliżając „Fra Diavolo” do farsy. Weselość widowni budzi wjazd karety, zaprzężonej w dwu statystów, przebranych za wierzgają-

zego kuca. Albo beztrudno tańczący po scenie parawan, z ukrytymi zań bandytami. Lub figlarny striptease za firanką, widoczny tylko jako cień. Różne takie pomysły okazały się dobre, choć chcielibyśmy może jeszcze więcej odważnej groteskowości. Scenograf niewiele pomógł reżyserowi stojącemu na głowie, by jakoś odświeżyć starzyzną „Diavolo”. Ubogie dekoracje i projekty kostiumowe S. Bąkowskiego odstręczają brakiem dowcipu. Są zbyt realistyczne. Złazszcza nie udało się sypialnia Żerliny, nieciekawo kolorystycznie i niezgrabnie zakomponowana. Natomiast plusem wizualnym — dużo światła, zwłaszcza w I i III akcie.

Widowisko Aubera ratuje melodyjna i pogodna muzyka, która zachowała jeszcze nieco powabów. Ozdobą są liczne ansamble — tercety, kwartety i kwintety — realizowane w brawurze szybkich tempach. Spektaklem drygowała precyzyjnie batuta M. Donajewskiego. Należałoby tylko poprawić synchronizację dźwięku w pierwszym chórze żołnierzy, który „rozlał się” z orkiestrą. Operę o „Fra Diavolo” wystawia się wówczas, kiedy teatr dysponu-

je tenorem przystojnym (bez brzuszka) i do tego jeszcze o dużych możliwościach aktorskich. Właśnie S. Żerdzicki spełnia owe wymagania w roli tytułowej: ruchliwy niby iskra, nadto śpiewający z dobrą techniką i bez szarży.

Piszący niniejsze sprawozdanie widział II obsadę premierową. Jako Zerline oglądał B. Zagórzankę, nowo zaangażowaną sopranistkę (koloratura). Swobodna wokalnie i aktorsko solistka okazała się potrzebą i pożyteczną w zespole siłą. H. Guzek starannie wypracował dostojnego lorda Rocburga. Niespodzianką sprawiła E. Bernat, którą nie podejrzewano się dotąd o tyle werwy i wdzięku. W partii zacnego oficera dragonów przypomnieli się publiczności ongi jej ulubiony tenor — J. Prządka. Rubaszna parę nożowników tworzyli B. Ratajczak oraz J. Walczak, strojący różne pocieszne grymasy. Konkludując trzeba by podkreślić, że nasz poznański zespół zyskał w „Diavolo” okazję przyjemnego popisu, także aktorskiego, a publiczność — pożądaną relaks, mimo, że cała ta opera (raz jeszcze dodajmy) trąci przysłowiową myszką.

OPERA

Przebiegamy Prasę

Dzisiaj — o kilku polemikach i dyskusjach na tematy polityczne, społeczne, kulturalne i oświatowe. „Walka Młodych” w artykule R. G. pt.

BEZCZELNOŚĆ

daje wyraz oburzeniu z powodu antypolskiej kampanii światowego syjonizmu. Oto na zachodzie ukazał się kolejny paszkwil na Polskę i Polaków. Tym razem wicedyrektor biura prasowego premiera rządu Izraela Pinhas E. Lapide opublikował książkę pt. „Trzej papieże i Żydzi”. Znaczną część tej pseudonaukowej bzdury poświęcono jest omówieniu stosunku Polaków do Żydów w okresie okupacji hitlerowskiej. Poniżej — za „Walką Młodych” — cytujemy próbki paszkwilu Lapide’a:

„Lapide pisze m. in., że Hitler zorganizował Oświęcim, Treblinkę i Sobibór na ziemiach polskich, „...miał bowiem zaufanie do polskich antysemitów”.

„Opisując zagładę warszawskiego getta, Lapide pisze: „W niedzielę wielkanocną roku 1943, gdy opór getta warszawskiego został zgłuszony, świąteczny tłum wracający z kościołów spieszył ulicami miasta, by ujrzyć najnowsze widowisko warszawskie. Oto baterie niemieckie ustawione na Nowiniarskiej ostrzeliwały płonące getto, pachniało dymem i ludzkim spalonym ciałem... Widok budził grozę i ekscytował. Od czasu do czasu żywa pochodnia, płonący człowiek

wyskakiwał z okna palącego się domu. Niekiedy samobójca zaczęła o wystający balkon lub zrab muru, wtedy polscy widzowie wołali do niemieckich strzelców: „hej, patrz, tam jest...” Gdy strzał był celny, tłum wznosił okrzyk radości”.

Tak oto — pisze następnie R. G. — przedstawia Lapide mieszkańcom Warszawy. Tak pokazuje światu naród, którego tysiące najlepszych synów zginęło z rąk hitlerowskich katów za to, że nieśli pomoc ginącym Żydom. W czasie II wojny światowej zginęło więcej Polaków za ukrywanie Żydów niż żołnierzy USA na wszystkich frontach wojny. Syjonisci w Izraelu i poza jego granicami flirtują dziś czule z byłymi hitlerowcami z NRF nie chcą oczywiście uznać tej prawdy. Ich wspólne interesy nakazują ukrycie jej, sfalszowanie”.

W dalszej części swej książki, Lapide przypomina testament Hitlera z kwietnia 1945 roku, kiedy to kanclerz faszystowskiej Rzeszy pisał: „Ponad wszystko inne nakazuję narodowi niemieckiemu wprowadzić w życie ustawodawstwo rasowe i stawić bezlitosny opór żydom, które jest trucizną dla aryjczyków”.

„Jedynym narodem — pisze Lapide — który wysłuchał tego płynącego z grobu głosu Hitlera, byli Polacy. W lecie i jesieni 1945 roku polska milicja paliła synagogi i dokonywała pogromów... mordując setki Żydów, którzy uszli z rąk Hitlera”.

Oto szczyt bezczelności, chamstwa i zakłamania. Dla nas insynuacje syjonisty Lapide’a są tak absurdalne, że można by skwitować je śmiechem. Ale jednocześnie dajemy wyraz aniewu i oburzeniu wobec tego paszkwilu, bo — jak pisze „Walka Młodych” — „Lapide jest przecież wicedyrektorem biura prasowego premiera rządu Izraela, jego jhnydn paszkwili czytają tysiące młodych ludzi w Izraelu i poza jego gra-

nicami, ci ludzie nie znają prawdy i często, bardzo często tykają bezkrytycznie trujące bzdury Lapide’ów. Na takiej pożywece rośnie młode pokolenie Izraela. Na takiej pożywece wyrosł ci, którzy rzucali napalm na bezbronną ludność arabską w czerwcu ubr.”.

DOBRE CZY ZŁE

Sprawy z zakresu kultury i polityki jest nocniejsze są tematem felietonu polemicznego w „Kulturze”. Jego autor Bohdan Czeszko rozważa różne strony wcale bogatego i co roku zwiększającego się eksportu polskiej kultury do Niemiec zachodnich, w konkluzji zaś stwierdza:

„Jeśli z jakichkolwiek przyczyn doniesiona zostanie w końcu do świadomości Niemca stykającego się z produktami polskiej kultury informacja o tym, że narody żyjące na wschodzie i południu nie są amorficzną, pulsującą groźną odruchami masą pierwotnej plazmy to już dobrze, ponieważ być może ów Niemiec dzięki tej informacji nie zaprzagnie sprawdzać swego pierwotnego mniemania inną drogą, przy pomocy powtarzania eksperymentów, za które w przeszłości drogo przyszło zapłacić. (...) Nie widzę jednak powodu do jakiegokolwiek troski, której źródłem miałyby być obfite eksportowanie pldów polskiej kultury do Niemieckiej Republiki Federalnej, ponieważ przyjmując za realnie istniejącą tezę o „zmniejszeniu” wmi, że stosowana w praktyce działa obosiecznie. Eksportowany towar jest w przeważającej mierze bardzo dobrej jakości i powodem zapisania tych refleksji było właśnie pragnienie wzmożenia poczucia godności eksportera, ponieważ nikt żadnej łaski nam tu nie wysyła”.

SPÓR O ANTYPODRĘCZNIK

I jeszcze jedna polemika a zarazem zachęta do dyskusji. Kazimierz Koźniewski podejmuje w „Polityce” polemikę z

programem nauczanego w szkołach wychowania obywatelskiego. Punktem wyjścia jest analiza podręcznika pt. „Wychowanie obywatelskie”, jednakże uwagi autora tyją — co parokroć podkreśla — program nauczania, w oparciu o który podręcznik napisano.

„Właśnie na lekcjach wychowania obywatelskiego młodzież musi uczyć się rozumnego formułowania swych pytań i wątpliwości — pisze Koźniewski. Podręcznik winien wskazywać te pytania, uczyć je formułować. Uczyć — po prostu — politycznego myślenia, które właśnie polega na umiejętności dostrzegania problemów, formułowania zagadnień i udzielania odpowiedzi. Godziny wychowania obywatelskiego nie powinny być odcytywaniem na głos encyklopedii wiedzy o XX-leciu, ale gimnastyką myślenia politycznego. Podręcznik tego nie uczy. Pełen jest apodyktycznych stwierdzeń, które — choć słuszne i prawdziwe — winny być przekazywane wychowancom zupełnie innym językiem, w zupełnie innym tonie i w zupełnie innym szatafazu dydaktycznym. W ten bowiem sposób nie wychowamy człowieka w pełni zaangażowanego w nieustanną naprawę rzeczywistości, w której intensywnie żyje, ani nie stworzymy kadr ludzi odznaczających się naukową kulturą umysłu”.

Można oczekiwać, że wywody Koźniewskiego wzbudzą dyskusję, podobnie jak poglądy wyrażone w artykułach Marka Jaworskiego, Bogdana Justynowicza i Jana Kreczmara opublikowane we „Współczesności”. Ich wypowiedzi rozpoczynają cykl publikacji poświęconych szkolnictwu artystycznemu. Autorzy poruszają wiele spraw polemicznych, ale i konstruktywnych. Warto zapoznać się z tymi uwagami.

LEKTOR